ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Stycznia 1892. **Nr. 1.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowegó wiersza drobnym drukiem.

Na Nowy Rok.

(Słowo redaktora do Czytelników.)

Szczęść Boże!

Słonko na niebie ma właściwość taką,
Że chociaż różnym świeci krajom,
ludom,
To jego mowę wszyscy rozumieją,
Bo znaczy ona: Światło, ciepło, życie!

»Światełko« nasze podobne w tem słońcu,
Że chociaż świeci polskiemu ludowi,
Rozsypanemu po calutkim świecie,
Cały je lud ten rozumie wybornie!

Światło słoneczne promieniami działa
Na różne strony, w jednakowy sposób;
A nasze »Światło« mową polską sprawia,
Że gdzie lud polski, tam i ono gości.

Czy pod Bytomiem kuje kto w kopalni,
Czyli w Opolskiem żyto sobie sieje,
Czy kto nad Wartą, czyli nad Notecią,
Czy kto nad Łyną, czy w Królewskich
Prusach,
Czy kto w Galicyi w samorządzie siedzi,
Czy za kordonem w bezprawiu okropnem,
Czy szuka chleba w westfalskich fabry-
kach,
Lub zgoła szczęście tam gdzieś aż za
morzem, —

Wszyscy »Światełko« dobrze rozumieją,
Bo wszystkich łączy serdeczna nić złota,
Ta sama mowa, ojczysta, jedyna,
Którą Polakom sam Bóg zesłał z nieba.

W tej ukochanej naszej polskiej mowie
Gdy wypowiemy: Szczęść Boże! ludowi,
To gdzie lud polski, tam one oddźwiękną,
Wszyscy je przyjmą, pojmą i odczują!

Gdy zaś ta mowa tak wielką ma siłę,
Że nicią złotą łączy oddalonych,
Więc hasłem naszem: Służba Bogu wier[n]
I służba mowie, co z Boga pochodzi!

Szczęść Boże!

Ś. p. ksiądz Biskup Janiszewski.

Zgon śp. ks. Biskupa Jana Złotoustego Janiszewskiego, pogrążył całą Polskę w smutku i żałobie, bo z nim zgasł jeden z najdzielniejszych synów kościoła i narodu, mąż wielkiego rozumu i gorącego serca, które aczkolwiek wiele cierpiało w życiu, wciąż jednak szczerze Boga i Kościół miłowało, a może jeszcze więcej i głębiej w tej miłości się utrwalało. Siedmdziesiąt trzy lata ziemskiego żywota dźwigał na barkach swoich, a do końca życia dał mu Pan Bóg rozum bystry i przenikliwy, zdrowie powiedzieć można czerstwe, tak że do ostatnich dni swych służyć mógł ziomkom swoim mądrą radą i wytrawnem zdaniem w każdej znaczniejszej potrzebie.

Urodził się w roku 1818 z rodziców zacnych i pobożnych, którzy go na służbę bożą przeznaczyli, co się też z usposobieniem i powołaniem jego dziwnie zgadzało. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych wstąpił do seminaryum duchownego, odbył studya akademickie, zyskał stopień licencyata teologii świętej a nareszcie po należytem przygotowaniu do tak wielkiej godności w roku 1844 a w 26-tym roku życia przyjął święcenia kapłańskie. W roku 1894, od którego czasu już tylko dwa lata i kilka miesięcy go dzieliło, byłby obchodził pięćdziesiątletni jubileusz kapłaństwa, którego jednak nie doczekał.

Najprzód był mansyonarzem w Trzemesznie i zarazem nauczycielem religii przy tamtejszem gimnazyum — i tutaj rozwinął wielkie zdolności pedagogiczne, które potem w pełnym blasku zajaśniały kiedy powołany został na profesora i na regensa seminaryum duchownego w Poznaniu, gdzie wykładał historyą kościelną. Był znakomitym kaznodzieją i miał wielki dar wymowy od Pana Boga mu dany, tak że nie darmo nosił imię świętego Jana Chryzostoma albo Złotoustego, bo dziwnie słodko płynęły złote słowa z ust jego natchnionych. Tą wymową zachwycał słuchaczów, kiedy mówił z kazalnicy w kościele, ta wymowa jednała mu umysły uczniów, kiedy mówił z katedry, — tą wymową wreszcie porywał nawet przeciwników, kiedy grzmiał z trybuny sejmowej, kiedy bronił świętych praw naszych i kiedy przypomniał światu, że można nas było połknąć, ale niepodobna strawić. Powiedział wiele mów pogrzebowych i okolicznościowych a najpiękniejszą nad grobem Karola Marcinkowskiego, przedwcześnie zgasłego założyciela Towarzystwa Pomocy Naukowej w Poznaniu — i na założenie Ligi polskiej, której zadaniem było organizować pracę narodową. Tej wymowie zawdzięczał to, że dał się poznać narodowi, i że go wybierano przez długi czas do sejmu pruskiego, gdzie był bardzo czynnym i gdzie bardzo wybitne zajmował stanowisko.

W roku 1854 został proboszczem w Kościelcu w powiecie inowrocławskim, i pracował nietylko dalej w sejmie, ale nadto rozwinął w powiecie błogą czynność w towarzystwach, jakie podówczas istniały w naszej dzielnicy.

W roku 1866 po śmierci Arcybiskupa Przyłuskiego, powołał go ówczesny Administrator archidyecezyi poznańskiej ksiądz prałat Brzeziński na swego radzcę i złożył na jego barki większą część zarządu Archidyecezyi — a nowy Arcybiskup Mieczysław hrabia Ledóchowski zatrzymał go przy swym boku, mianował kanonikiem poznańskim, oficyałem a niezadługo także Biskupem sufraganem w roku 1871. Tak tedy mając lat 53 dosięgnął najwyższych w kościele godności — został biskupem a już poprzednio w rzeczach zarządu Archidyecezyi był zastępcą swego Arcypasterza.

Dziesięć lat od roku 1866—1876 rządził archidyecezyą, a snać umiał wraz ze swym Arcybiskupem doskonale i po bożemu sprawować swój wysoki urząd, kiedy przez ten czas rzec można, zreformował dyecezyą, pousuwał nadużycia,

zaprowadził ścisłą karność kościelną i przygotował duchowieństwo do zajęcia tego stanowiska, jakie zajęło w niedalekiej walce kulturnej, która zawrzała w roku 1873.

Po zaciętej walce Arcybiskup poszedł do więzienia w Ostrowie a później na wygnanie: »Dokąd idziesz Arcypasterzu bez Twego Sufragana?« mógł ks. Biskup zawołać za odprowadzonym do Ostrowskiego więzienia Arcybiskupem. »Za trzy dni pójdziesz za mną, Bracie!« mógł mu odpowiedzieć Arcybiskup i rzeczywiście ksiądz Janiszewski niedługo poszedł do więzienia w Gnieźnie za sprawowanie Sakramentu bierzmowania a potem do więzienia w Koźminie, za to, że sprawował rządy w zastępstwie Arcybiskupa. Blisko trzy lata przesiedział za kratą więzienną — ale mógł spokojnie przez okna swego więzienia patrzeć na to, co się działo w dyecezyi, bo duchowieństwo wytrwało mężnie przy krzyżu Chrystusowym, przy prawowitej aczkolwiek ukrytej władzy — i postawą swoją wywalczyło zwycięstwo świętej sprawy.

Tymczasem ks. biskup Janiszewski został złożony z urzędu, jaki zajmował i wywieziony z kraju. Z żalem w sercu opuszczał rodzinną ziemię, bo znając dobrze ludzi i stósunki, wiedział doskonale, że wiele wody upłynie, zanim się ta burza uspokoi, że ofiar wiele będzie potrzeba i kraj cały na wielkie spustoszenia i ruiny narażony będzie, niż nareszcie uspokoją się wzburzone umysły. Wieszczym prawie duchem przepowiedział, że kulturkampf lat 12 trwać będzie (1873—1885) i w roku 1876 poszedł na wygnanie do Krakowa.

Poszedł wprawdzie pomiędzy swoich rodaków, do tego grodu, który zwykł gościć w swych murach biskupów wygnańców, — a chociaż w początkach przyjmowano go bardzo zaszczytnie i bardzo gościnnie, to w końcu o potrzeby jego nie bardzo się troszczono — tak, że niejednę gorzką chwilę przyszło mu przepędzić w trosce i obawie o potrzeby nie tak swoje, jak swoich, — bo na wygnanie poszedł ogołocony ze wszystkiego, stradowany i sfantowany.

Wygnanie swoje mimo to znosił z dziwną pokorą, z dziwnem męstwem, budując wszystkich swym przykładem i podnosząc ducha tych, którzy na niego bliżej patrzeli, jak np. ksiądz profesor dr. Warmiński, ks. Drews itd.

Nareszcie zabłysła dla naszego wygnańca po 10-ciu latach swobodniejsza chwila, — powrócił do swej ukochanej Wielkopolski, wprawdzie już nie do Poznania jako Sufragan i oficyał — ale do Gniezna, do grobu św. Wojciecha. Rząd pruski nie chciał pozwolić na to, aby ks. biskup Janiszewski zamieszkał w Poznaniu, aby był doradzcą Arcybiskupa, ale mu pozwolił zamieszkać w Gnieźnie i dał mu roczną pensyą 2800 talarów.

Pięć lat blisko przepędził w Gnieźnie; po powrocie otoczony ogólnym szacunkiem i poważaniem, a przedewszystkiem prawdziwie synowską miłością księdza biskupa Antoniego Andrzejewicza siostrzeńca swego, który za dług wdzięczności wypłacał mu się niezrównanem przywiązaniem. Do Kuryi ks. Andrzejewicza, w której zamieszkiwał ksiądz biskup Janiszewski, schodzili się i zjeżdżali z bliska i z daleka dawniejsi przyjaciele i wielbiciele cnót i talentów sędziwego księdza biskupa, a on wszystkim służył radą i nauką, wszystkich obdzielał darami swego wielkiego serca. Nareszcie w nocy z dnia 10-go na 11-go Października 1891 zmarł nagle i przeniósł się do lepszego żywota. Pochowany został w dniu 14-go Października w murach katedry gnieźnieńskiej obok wielkich Prymasów, prałatów i kanoników, którzy byli ozdobą swego kościoła i swej ojczyzny.

Powiedziano o nim w mowie pogrzebowej, że gdyby był żył za czasów Rzeczypospolitej, byłby z pewnością pieczęć kanclerską, ujął w swe dłonie, — ale i tak żywot tego pracowitego i zdatnego męża nie przeminął marnie. Wychował Kościołowi wielu pożytecznych i gorliwych sług ołtarza, pracował na parafii z wielkiem powodzeniem, zagrzewał i porywał tysiące swą wspaniałą wymową, karcił występki, wielbił wzniosłe cnoty, zachęcał do miłości Boga i ojczyzny

i rządził naszą archidyecezyą przez lat 10, wygnanie znosił odważnie i mężnie, dawając śmiały przykład poświęcenia i zaparcia się dla Chrystusa.

Zostawił jako drogocenną po sobie



Ks. biskup Janiszewski.

pamiątkę, trzy wielkie dzieła: 1) O bezżeństwie kapłańskiem. 2) O prześladowaniu Kościoła katolickiego w Prusiech. 3) Kościół a państwo chrześciańskie.

W pierwszem z nich wyłożył znakomicie historycznie, filozoficznie i moralnie powody, dla których kapłan katolicki ma i musi żyć w bezżeństwie, w stanie czystości.

W drugiem wykazał prawdziwe powody, dla których rząd pruski rozpoczął walkę kulturną z Kościołem katolickim i skreślił początki dziejów tej walki. Jest to dzieło, tak samo jak drugi tom »Bezżeństwa,« napisane w więzieniu Koźmiń-

skiem, gdzie czcigodny więzień w tak szlachetny sposób skracał sobie smutne chwile samotności.

Trzecie rozpoczęte w Krakowie a dokończone w Gnieźnie, określa na podstawie dzieł św. Tomasza z Akwinu, stósunek Kościoła do państwa chrześciańskiego.

Wszystko co napisał ks. biskup Janiszewski, nosi na sobie cechę wykończenia, głębokich studyów, bystrego rozumu, długiego zastanowienia i doświadczenia, wszystko to zajmuje w literaturze naszej poważne miejsce a służyć będzie jeszcze długo, jako przedmiot nauki dla młodszych pokoleń a mianowicie dla przyszłych kapłanów.

Strzelno, 1-go Grudnia 1891.

Ks. dr. Kantecki.

PIOTR WŁAST,

PALATYN*) WROCŁAWSKI.

W roku 1139 zmarł wielki król polski, zwany Bolesławem Krzywoustym, pozostawiwszy pięciu synów; najstarszym był Władysław a miał przy śmierci ojca 35 lat; po nim szli Bolesław, Mieczysław, Henryk i Kazimierz. Ostatni z nich miał dopiero lat 12, gdy sierotą został. Krzywousty podzielił całą ówczesną Polskę, do której i Szląsk należał, na cztery części. Władysław dostał Księstwo Krakowskie, i Szląsk, ziemię Sieradzką i Łęczycką; Bolesław: Mazowsze i Kujawy; Mieczysław: Wielkopolskę i Pomorze; Henryk: Księstwo Sandomierskie i Lubelskie. Najmłodszy Kazimierz nic od ojca nie dostał i miał pozostawać pod opieką braci a mianowicie najstarszego Władysława, który nadto miał władzę nad wszystkimi braćmi tak, że go jako króla powinni byli uważać i słuchać.

Z początku zgoda panowała między braćmi, ale niedługo; wnet bowiem zaczęły chodzić wieści po kraju, że Władysław zamierza braciom dzielnice odebrać. Do tego miała go namówić żona jego Agnieszka, pochodząca z niemieckiego rodu cesarskiego. »Chcę być królową, a nie księżniczką,« tak miała powiedzieć a słowa te niebawem rozniosły się po kraju i wywołały wielkie nieukontentowanie.

Wrocławskim wojewodą był wówczas Piotr Włast, zwany Duninem. Był to pan możny bardzo, który za Krzywoustego do znaczenia doszedł i był jednym z opiekunów królewskich książąt, wyznaczonych im przez ojca. Jako biskup zasiadał wówczas na stolicy Wrocławskiej Jan Gryf z Brzeźnicy, zwany zwykle Janikiem. Był to kapłan pobożny, o chwałę Bożą dbający a sprawami swojej ojczyzny pilnie się zajmujący. Miał on do pomocy przy sobie archidyakona ks. Roberta, z rodu Niemca.

*) Palatyn znaczy tyle, co wojewoda, po łacinie palatinus.

I.

Na dworzec biskupi, który w owe czasy nie ustępował w niczem książęcemu, przybył właśnie krewniak biskupa, młody Jaksa z Krakowskiego. Był to młodzieniec zacnego rodu, dobrze wychowany i wykształcony, bo kilka lat w zagranicznych krajach spędził, gdzie oświata wówczas wyżej stała, niż w Polsce. Biskup bardzo mu się ucieszył, a że miał na swym dworze drugiego Jaksę z Miechowa, który dla wielkiej otyłości żołnierką trudnić się nie mogąc, dworem biskupim zarządzał, przeto wszyscy trzej chętnie pozostawali sami, aby się nagadać z sobą.

Pewnego dnia, gdy rozmową w zamkniętej izbie zajęci byli, ktoś zaczął mocno pukać do drzwi.

— Nie kto inny się tam tak dobija, ino pan Petrek — rzekł biskup — tego już potrzeba wpuścić, bo drzwi potłucze i ludzi porozpędza, nienawykłym będąc, aby go od progu odprawiano.

Skinął na Jaksę starszego, którego nazywano Zułą, a ten zaraz wybiegł, zaś Jaksie młodemu, który się chciał wycofać, kazał pozostać przy sobie.

— Pokłońże się i ty, możnemu Palatynowi naszemu — rzekł bijąc go po ramieniu. — Nie mały człek jest, przydać ci się może. Aniby się go minąć godziło, gdy jesteś u mnie, żal by miał. Człek to równy z książęty, a od wielu z nich lepszy.

Ledwie słów tych domawiał, gdy żwawo miotając się wkroczył do izby człek niemłody, silnej budowy, odziany tak, żeby go z wejrzenia nikt, nietylko Palatynem ale Starostą na małym gródku nie poznał. Buta tylko była rycerska, twarz czarna ogorzała, rysy nie zbyt wdzięczne. Orli nos dużą część twarzy zajmował, resztę broda ciemna a rudawa pod światło. Na głowie włos mu się jeżył, i wzbierał nieposłuszny, porozrzucany a bujny. Czoło miał już zorane zmarszczkami a chmurne.

Żelaznego w nim męża łatwo poznać było, nieulękłego, śmiałego, niedającego się niczem złamać. W oczach niepokój jakiś mieszkał, na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na świat wychodziła. Śmiał się też rzadko.

Czarna odzież, dobrze przeszarzana okrywała go, mieczyk niepoczesny miał u boku, czapkę prostą w ręku.

Szedł ku biskupowi jak na mury zdobywca.

— Do Miłości Waszej, pasterzu nasz, już się i dostać nie można! — zawołał od progu, oczyma zaraz rzucając po izbie dokoła.

Biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usty głowy jego.

— Zawsze z was ten sam szalony Petrek! — począł śmiejąc się Biskup. — Nie kazałem obcych puszczać, bom sam chciał być z bratankiem, któregom na drodze przypadkiem pochwycił.

I wskazał na Jaksę, który się skłonił milczący.

— A mnież to wasz bratanek obcym być ma? albo mi to go widzieć nie wolno — począł Petrek. — Cóż to jest! ażalim w niełaskę popadł!

Biskup poruszył ramionami.

— Chowałem go w izbie — odparł — aż mu suknie z domu przywiozą.

— Czyż go to zbóje po drodze odarli? — pytał Palatyn.

— Nie, boby się im był obronił — mówił ks. Janik — alem ja go zbłąkanego na drodze chwycił. Nie znając kraju, w którym mało bywał, chowając się u obcych, w puszczach się obłąkał. Dopiero gdy szatny przybędzie z Miechowa, stawić się z nim mieliśmy i wam należny oddać pokłon.

Petrek spoglądał jakoś niedowierzająco.

— Prawdali to? — zapytał.

— Jakeśmi miły Petrku mój, — potwierdził Biskup.

Usiadł gość z oczów nie spuszczając Jaksy.

Zwrócił się wnet cały ku niemu i jął badać o życie, o podróże, o naukę, o to co lubił i co mu miłem było. Uwziął się nań aby pytać, ale z Jaksą niełatwa była sprawa, bo choć zrazu nieśmiały, gdy się raz przemógł, każdemu dotrzymał kroku. Petrek go swą szorstką, napastliwą mową nie zmięszał wcale.

Wśród tego badania, Zuła postarał się o wino i kubki, rozsiadł się Palatyn, poczęto prawić o różnych rzeczach; szeroko i długo. W ostatku gdy po cichu coś Petrek Biskupowi szeptać zaczął, Zuła z Jaksą z izby się wysunęli.

Powstał z siedzenia Palatyn i przybliżył się do ks. Janika.

— Nie darmom się ja — rzekł — do drzwi miłości Waszej tak dobijał, mówić chciałem z nim i potrzebowałem radzić się. Z Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą.

— Co zaś! — odezwał się Biskup.

— Władysław pan nasz, nie winię go, do zbytku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna. Na złe go ona prowadzi, grożą nam niepokoje.

— Władysław nie będzie się ważył ich wszczynać — odparł Biskup.

— Niewiasta go zmoże — mówił Petrek. — Swą krwią cesarską dumna jest nad miarę, mało jej księżną na jednym grodzie być, królową pragnie. Ile razy nasi Piastowie niemki brali, zawsze nam z niemi wojny przychodziły i klęski. Bodaj i teraz tak będzie.

Niemcy, ulubieńce księżnej, biją jej w uszy, że siedząc na Krakowie panować powinna nad wszystkiemi ziemiami, że braci Władysław powinien precz wygnać, posiąść wszystko, tak jak Mieszek i Chrobry...

Władysław dobry jest, ale najlepszego niewiasta zła uczyni chciwym i dumą napoi, gdy dzień w dzień jedno mu śpiewać będzie. — Poleje się krew nie czyja tylko nasza!

Biskup westchnął.

— Bogdajbyście nie byli prorokiem.

— Nie daj Boże krew przepowiadać, — ciągnął Petrek — za łaską Bożą, ja i drudzy nie dopuścimy może do jej rozlewu. Nieboszczyk król zwierzył mi wolę swoją, w imieniu ojca odzywać się będę. Słowa nie poskąpię, męztwa mi nie zbraknie.

— A pani Agnieszka? — wtrącił Biskup.

— Będzie musiała zmilczeć — mówił Palatyn. — Jeśli jej tu ziemi mało, kraju mało, niech jedzie nad Niemcami królować. My jej tu z jej zausznikami wichrzyć nie damy.

Odezwał się dziad Herman w tym wnuku, mówił dalej:

— Też samą dobroć ma, pobożność i uległość dla niewiasty a najwięcej wichrzy niejaki Dobek, który łaskę królowej posiada.

Mówiąc to powstał Palatyn i chodził żywo, a coraz większa jawnie gorączka go opanowywała.

— Z Płocka, z Gniezna, z Sandomierza ślą do mnie, donosząc o coraz gorszych poszlakach. Że już do Krakowa ściągają lud, że spiski się na młodszych książąt kryjome czynią.

— Radzić trzeba, pilno radzić trzeba!

— Wy sami chyba po temu siłę mieć będziecie — rzekł ks. Janik — wy albo brat mój, biskup krakowski, jeżeli was posłuchają. Jam do tego niezdolny i mnie ks. Władysław nie usłucha.

— Nas wszystkich razem, usłuchać musi! — zawołał Petrek. — Posłuszny mu jestem jako panu, alem wprzódy ojcu jego, miłościwemu memu przysięgał, że czuwać będę aby się wola jego spełniła. Gdy przeciwko niej najmniejszą rzecz uczynią, stanę chociażby sam na wszystkich. — Nachmurzył czoło Palatyn. — Ukaże się najmniejszy znak jeszcze — mówił dalej żywiej coraz — a poznam, że się chce porwać na braci, do Krakowa pojadę, prawdę mu rzucę w oczy.

— Petrku mój miły — westchnął Biskup głos zniżając i ton przybierając łagodny wielce — w paszczę smoka i niewiasty dobrowolnie się rzucać bezbronnemu nierozumem by było. Jeżeli Agnieszka tak złą jest, jeżeli już księcia, dwór i wszystkich tam zdołała sobie pozyskać, wszak ci was łatwo zgubić mogą.

Na całe gardło rozśmiał się Petrek i stanął hardo patrząc Biskupowi w oczy.

— Mnie zgubić? oni? Na mnie by się mieli porwać? Nie? Władysław nadto jeszcze pamięć rodzica szanuje, a wie że ja nie moją wolę a nieboszczyka rozkaz pełnię. — Nie będą śmieli tknąć mnie, ani on, ani ta niemiecka pani, której się nie boję, ani jej słudzy, którymi gardzę.

— Patrz abyś nadto śmiałym i ufnym w sobie nie był — wtrącił Biskup.

— Dla strachu ja się nie cofnę — zawołał Petrek — rychlejby mnie groza znęciła ku sobie.

— Radźcie się ludzi!

— Sumienia się naprzód radzę! — odparł Palatyn — ono starczy, a i ludzie mi nie naganią do tego, co uczynię.

Biskup popatrzał nań, a jako sam srogim nie był, tak i drugich rad hamując, począł zwolna rozjątrzonego uśmierzać.

— Co ci ludzie do uszów przynoszą — rzekł, plotki być mogą. Ile wiem, poszlaków dotąd znacznych nie ma. Władysław w swej dzielnicy siedzi spokojnie, do braterskich spraw się nie miesza. Czekaj przynajmniej aż jawnie wystąpi i będzie za co go strofować.



SIEROTA.

Nie mam ojca, nie mam matki,
Nie mam domu: z naszej chatki
Wypędził mnie wróg!

Wszystko szczęście moje w grobie,
I w okropnej tej żałobie
Został mi sam Bóg!

Do Cię, Boże, rozpaczona,
Z jękiem wznoszę me ramiona,
Zlituj się i spraw:

Bym w straszliwej życia doli,
Szła drogami Twojej woli,
Prowadź mnie i zbaw!

— Może być po niewczasie — odparł Petrek. — Gdy wojska ściągną, gdy Żupanów po grodach sobie zjednają a Agnieszka żagiew rzuci i książę za nią pójdzie, późno będzie wołać że... gore.

— Miły mój! — przerwał Biskup — tyś gorący, strzeż się, byś na pożar nie wołał, gdy go niema.

— Gorący! a tak — potwierdził Petrek. — Byłem nim i będę pókim żyw. Tylko gorącością się coś czyni, chłodem i małodusznością chyba nic. Wy ojcowie dobrzy jesteście, miłujecie pokój, jam zły i miłuję wojnę.

Uderzył się w piersi.

— Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Napił się z kubka Palatyn i po izbie obejrzał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Obrazki z wystawy czeskiej.

I.

Złożyło się tak szczęśliwie, że razem zemną wsiadł do wagonu pociągu, idącego z Wiednia do Pragi, chłop czeski, który ledwie pociąg ruszył, na harmonice wdzięczne melodye wygrywać zaczął. Przypomniały mi one nutę naszych piosenek ludowych. Przysunąłem się do niego i od słowa do słowa, powiedział mi, że był w Wiedniu u krewnych w gościnie, że mu się tam bardzo podobało i że wiezie do domu to przekonanie, jako Wiedeń, to na pół czeskie miasto. Zdziwiłem się, usłyszawszy ostatnie zdanie, bo i ja byłem w Wiedniu i słyszałem tam prawie wyłącznie niemiecką mowę. Czech jednak palnął mi na to: »Pan nie jest Czechem, więc trudno panu Czechów poznać, ale taki, jak ja, zaraz ich poznać i znaleść potrafi, bo swój swego pozna.« Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że Czesi mają we Wiedniu osobną czeską szkołę. Na moje pytanie, czy rząd na ową szkołę płaci, Czech odrzekł: »Tego dokumentnie nie wiem, ale my tam w »domu« mamy taki związek, co się Maticą czeską nazywa; my wszyscy, cały naród czeski daje składki rok w rok tej Maticy, a ona stara się o czeskie szkoły.« Gdy mówił słowa: »my wszyscy«, to dumnie wzniósł głowę, jakby się tem pysznił i miał prawo się pysznić taką ofiarnością całego narodu czeskiego na cele ludowej oświaty.

Rozmowa z tym czeskim chłopem była dla mnie bardzo pouczającą; wiedział doskonale o wszystkiem, co się w jego ojczyźnie działo; ba nawet od razu dał się poznać, że z Młodoczechami trzyma, »bo to są chwaty chłopy (tak mówił) i w kaszę sobie pluć nie dadzą.« Gazety czytał dwie polityczne, a jednę gospodarczą i mówił, że czeski chłop każdy czyta gazetę od czasu, jak się naród ze snu obudził.

Żałowałem, gdy towarzysz mój wysiadł, uścisnąwszy mi krzepko rękę i pożegnawszy mnie słowami: Na zdar Polakom! Ale szczęśliwy traf wynagrodził mnie zaraz innym Czechem, który już dawniej do wagonu wsiadł i bardzo się przysłuchiwał mojej rozmowie z chłopem. Byłto rzemieślnik, młody jeszcze a jechał poraz pierwszy do Pragi, na wystawę. Opowiadał mi, że urodził się w niemieckiem mieście, że rodzice mu pomarli, potem dostał się w naukę do majstra niemieckiego, »ale (dodał głośniej) ja Czech i Czechem będę!« Pytałem, jak się to stało, że się nie zniemczył. Odrzekł mi: »Matka nauczyła mnie pacierza po czesku a potem czytać i pisać w ojczystej mowie. Wpoiła we mnie taką miłość do niej, że choć rodzice umarli a ja do Niemca poszedł, to jednak się nie zniemczyłem. Czy to można stawać się z Czecha Niemcem, gdy naród czeski żyje i się podnosi?«

Gdy mi tak prawił, tom sobie pomyślał: »Gdyby i u nas wszyscy rzemieślnicy byli takiego ducha, jak ów Czech.«

W bardzo miłej gawędce zbliżaliśmy się do Pragi. Im bliżej byliśmy, tem mój towarzysz częściej do okna się porywał, a w dal spoglądał. Aż nagle trącił mnie mocno w ramię, i z uradowanem obliczem, zawołał: Praha, zlata Praha! Istotnie, to już była Praga, złota, piękna Praga. Pociąg pędził górą, miasto leżało w dole; więc widzieć je było można, jak na dłoni. Mój Czech już nic nie gadał, tylko patrzał a patrzał, uśmiechając się ciągle i od czasu do czasu wykrzykując: »Praha, nasza Praha!« Wiedziałem, że okiem i sercem wita stolicę swojej ojczyzny a nadto, że w takiej chwili nie wolno przeszkadzać sercu w radości.... Więc milczałem, aż pociąg z trzaskiem i hukiem wtoczył się na dworzec prazki...

Nie było mi trudno dopytać się o mieszkanie, bo choć mówiłem po polsku, wszyscy mnie rozumieli i bardzo grzecznie na pytania odpowiadali. Na ulicach, któremi szedłem, słyszałem tylko mowę czeską, a żem wiedział,

iż w Pradze też i Niemcy mieszkają, więc zapytałem człowieka, który mi rzeczy niósł, czy tu po niemiecku wcale nie gadają? Uśmiechnął się i odrzekł: »My wszyscy mówimy po niemiecku, ale tylko wtedy, gdy potrzeba; najchętniej jednak mówimy po czesku, a jest tu przeszło 200 kroć sto tysięcy Czechów a coś nad 40 tysięcy tylko Niemców. Dla tego ich nie słychać!« Te słowa powiedział z taką miną, że zarazem się domyślił, jako co najmniej tak dobrym jest Czechem, jak ów chłop, co mi o »czeskiem mieście Wiedniu« prawił. Snać miał jeszcze coś na sercu, bo niepytany zaczął znowu: »Temu czterdzieści lat było tu inaczej; wtedy tu na ulicach jeno niemiecką mowę się słyszało. Ale potem nakręciło się na czeskie i odtąd już czeskie a czeskie wszędzie, bo, proszę pana (dodał) czemu nie ma być wszystko po czesku, kiedy to czeska ziemia i czeskie miasto?«

Przyznałem mu oczywiście słuszność i tylkom sobie pomyślał, że nie zawsze i nie wszędzie brzmi tak głośno mowa ojczysta na ziemiach i w miastach tego narodu, któremu Bóg ziemię dał i na której go osadził...

Ów chłop, ów rzemieślnik i ten mieszczanin dali mi wyobrażenie o duchu narodu czeskiego. Byli to ludzie prości, a jacy pewni siebie, jacy dzielni Czesi! Każde zdanie, które do mnie powiedzieli, przekonywało mnie, że wiedzą, czem są, że kochają swoję mowę, swoję ziemię, swoję Pragę; że są dumni z tego, iż są Czechami, że się nimi być nie wstydzą; że wiedzą, co się w ich narodzie dzieje i czują potrzebę coraz większej oświaty, łączności i miłości wspólnej wszystkich, bo w niej przyszłość narodu...

Mimowoli serce mi się rozrzewniło, gdym to wszystko rozważał i westchnąłem: Kiedyż i u n a s tak będzie?...

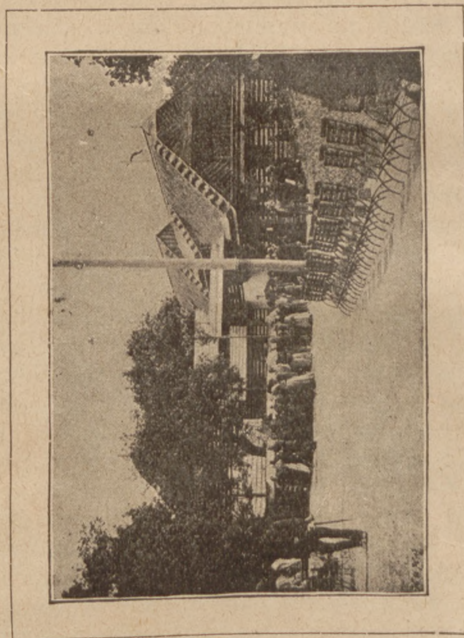
II.

»Ku wystawie!«

Taki napis widniał na domach, murach, dorożkach, koleji konnej, nawet na słupach latarni, więc zbłądzić nie sposób. Idę tedy, a mieszkałem na ulicy Poric (co się mówi: Porzycz), która leży blisko ulicy, prowadzącej na wystawę. W przeciągu kilku minut dochodzę do wspaniałego mostu na Wełtawie (Mołdawie). Za mostem mogę iść pieszo piękną aleją, albo podjechać pod górę bardzo sztuczną koleją. Wybieram jazdę koleją. Nie jestto zwykła kolej; cały pociąg składa się z jednego wagonu, przy którym jest i przyrząd do wjeżdżania pod górę i siedzenia. Kolej pnie się formalnie pod spadzistą górę, a skoro jeden wagon podjeżdża, to na drugich szynach inny wagon zjeżdża. Bardzo to wszystko sztucznie urządzone i wcale wygodnie się jedzie, tylko nie trzeba myśleć o tem, żeby się taki pociąg mógł przechylić jako, bo wtedy ciarki człowieka przechodzą na widok tej spadzistości. Ja dojechałem w ciągu jednej minuty szczęśliwie do stacyi na górze.

Tam oglądam się i widzę z dala powiewające chorągiewki: to wystawa, ale prócz chorągiewek jeszcze niczego nie widać, bo za daleko. Iść czy jechać? Jest bowiem tutaj znowu inna kolej, a mianowicie elektryczna, nie mniej sztucznie urządzona, bo nie ma przy niej lokomotywy i niby jeno sam wagon, a pędzi, jak szalony. Mówię sobie: »Kiedy mi tam pod górę gładko poszło, odważę się i tu, bo tu przynajmniej na równinie się jedzie, to w danym razie gładziej się człowiek wysypać może.« Siadam tedy w ową »elektryczną« i prędko, gładko jedziemy aż prawie do samej bramy wystawy.

Wspaniały widok roztacza się przed mojem okiem; na przestrzeni prawie 400 tysięcy kwa-



CZESKA CHATA.

dratowych metrów rozsiadło się dziwne miasteczko, pełne pałaców żelaznych, budynków drewnianych, wieżyczek itp. Później się dowiedziałem, że oprócz wielkich gmachów aż 106 rozmaitych mniejszych i większych budynków tam stało. A wszystko to umieszczone wśród pięknego parku, zwanego Stromowką.

Przez bramę, ozdobioną herbami ziem i miast czeskich i różnobarwnemi chorągiewkami, wchodzi się na plac wystawy. Tu już tyle do widzenia, że nie wiedzieć, na co najprzód spojrzeć.

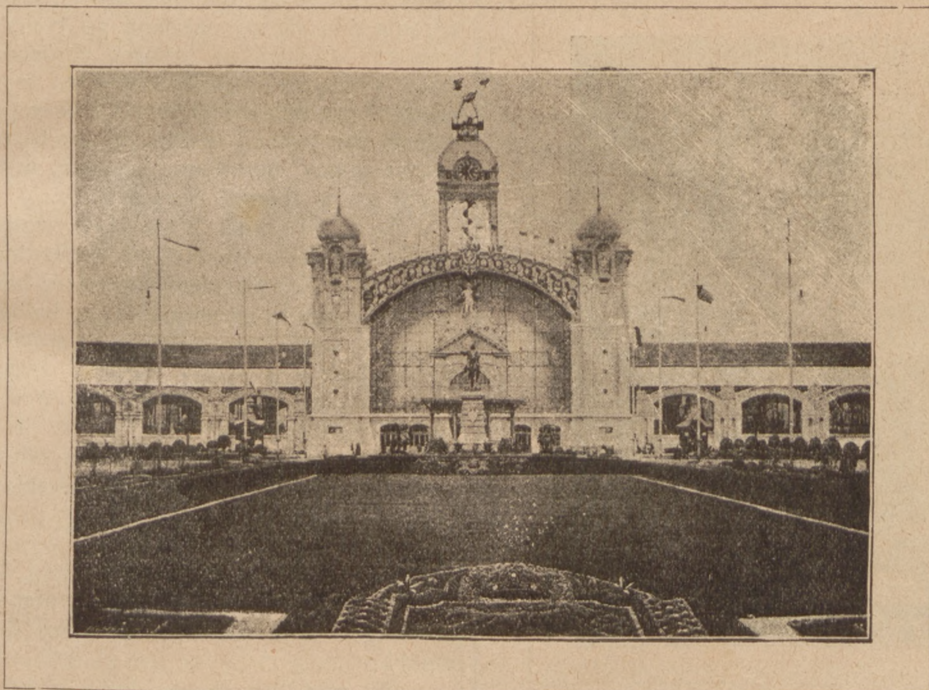
Ponieważ jednak natura ciągnie zawsze wilka do lasu, więc i mnie pociągnęło najprzód do c h a ł u p y c z e s k i e j, o której już słyszałem i czytałem.

Chata ta podobna do chat polskiego ludu, choć strojniejsza i paradniejsza. Domy-

ślam się, że się na wystawę wystroiła, ale gdyby ją zobaczyć po wsiach czeskich, toby była bardzo podobna do chat w polskich wsiach. Wrotami wchodzi się na podwórze, gdzie stoi ul, studnia, gołębniki itp. Chałupa mieści w sobie kilka izb, a w każdej jest to wszytko, co w chatach czeskich w różnych okolicach widzieć można. Co izba, to inna okolica, ale różnice nie wielkie; główne rzeczy wszędzie te same. Jest tam wszystko, co w chatach ludu napotkać można: sprzęty domowe, narzędzia, talerze, dzbanki, zegary, skrzynie, krucyfiks, obrazy Świętych po ścianach i t. p. Nie brak też i chłopów i chłopek, choć z wosku. Postawiono ich tam na to, aby pokazać, jakie chłopi czescy stroje noszą. Zauważyłem, że piękne i słyszę, że polsku modlić będziemy.« Z tego widać, że naród polski ma u Czechów sławę narodu pobożnego i starać się pilnie o to trzeba, aby nam się ta sława ostała.

W tych izbach widzieć można pióro i atrament, kalendarze i gazety, bo chłopi czescy piszą i czytają i dbają o oświatę. Gdym to widział, pomyślałem sobie, jakby się to niejeden z polskich chłopów musiał wstydzić za to, że nic nie czyta i w chacie swojej książek i pism ani na lekarstwo nie ma.

Gdy wyszedłem z chałupy, patrzę, a oto stoi dudziarz i gra sobie, że aż słuchać miło. Dowiedziałem się, że pochodzi on z ostatnich krańców Czech, gdzie się ziemia słowiańska kończy a niemiecka zaczyna, z Domazlic.



PAŁAC PRZEMYSŁOWY.

ich nie zarzucają, ani na kuse fraczki nie zamieniają, a jest rzeczą dobrą, strój narodowy zachowywać. Na dębowym stole leży chleb, a obok niego — książka do modlitwy. Pięknie to i zacnie, że lud czeski wiary świętej się gorliwie trzyma, bo Pan Bóg błogosławi za to narodom.

Przy tej okazyi warto przytoczyć, że sławny czeski uczony, Wacław Hanka przed 50 laty pisał do uczonego Purkyniego we Wrocławiu, aby mu przysłał modlitwy polskie. »Moja stara matka — tak pisał — ogromnie pragnie mieć polskie modlitwy i chce się z nich modlić, bo tak jest biedaczka znękana, że jej się zdaje, iż Pan Bóg będzie dla nas (Czechów) łaskawszy, skoro się do Niego po

Grał piosenkę, która się tak po czesku zaczyna:

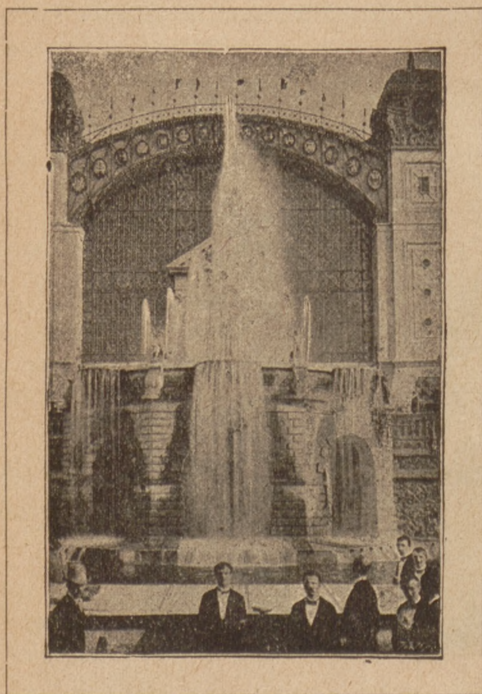
»Zadudej dudacku, zadudej,
Nebo mne ty swoje dudy daj.«

Niedaleko od tej chałupy stoi wspaniały gmach, zwany pałacem przemysłowym. Pewien Czech, któregom się pytał o objaśnienie, rzekł mi między innemi: »Gdyby nie ta chałupa niska, toby dziś nie było tego pałacu.« Miał słuszność a chciał przez to powiedzieć, że z chałup, z ludu czeskiego wyszło odrodzenie narodu, niejako nowe życie. Trzeba wiedzieć, że przed 50 przeszło laty, to w Czechach tylko lud był czeski, a wyżsi się zniemczyli. Lud się nie dał zjeść a gdy się obudził, ruszył się duch i w średnim i wyższym stanie

tak, iż dziś wszystkie stany, cały naród żyw jest, czeski jest.

Pałac przemysłowy jest tak wielki, że zajmuje 12 tysięcy kwadratowych metrów. Jest zbudowany z żelaza i szkła, boczne dwa skrzydła z muru. Do budowy spotrzebowano 800 ton żelaza i przeszło milion tablic szklanych. Koszta całego budynku wynosiły 462 tysiące guldenów (po 2 marki.) Urządzenie jego jest wspaniałe, a gdzie okiem rzucić, wszędzie widzisz skarby pracowitości, chlubne owoce znoju, ducha i energii.

»Co kto z przemysłowców i rękodzielników miał najlepszego, tudotąd przesłał i wystawił. Chodzi się tu jakby wśród miasta, wśród ulic z pięknymi składami i najrozmaitszymi towarami.« Jestto niejako główny skład



ŚWIETLANA FONTANNA.

przemysłu i rękodzielnictwa, jakie Czesi mają. Są tu klejnoty, szkła, bóty, meble, czapki, ubrania, zabawki, książki, druki, maszyny przeróżne i t. d. Nie sposób wyliczyć wszystkiego, bo trzeba by całe strony takim spisem zapełnić; jest tu tak wiele rzeczy, że chyba pytać można, czego nie ma.

Na głównym gmachu, wyższym od pobocznych jest wieża szeroka i wspaniała. Można tam wejść na sam czubek i wtedy każdy podróżny jest niejako ukoronowany, bo na samym szczycie wieży jest przytwierdzona ogromna korona. Czesi, jak się domyślam, nie postawili tej korony na to, aby wszystkich nią koronować; dla j e d n e j osoby ją tam umieścili, dla cesarza austryackiego, którego proszą, aby się królem czeskim ukoronował. Cesarz zwiedził wprawdzie wystawę, ale pod koronę nie poszedł, więc jak był, tak jest niekoronowanym królem czeskim.

Przeszedłszy przez główny gmach pałacu przemysłowego, wchodzi się prosto na dziwne jakieś urządzenie. Widzisz tam setki rur i rurek, wyciągających swoje szyjki ku niebu. Gdy się spytasz, co to? — odpowiedzą ci, że »s v e t e l n a f o n t a n a«, czyli fontanna albo wodotrysk, z którego biją promienie wody w różnych kolorach. Ten wodotrysk puszczają dopiero, gdy się ściemni, ażeby kolory wody lepiej się uwydatniły.

Byłem świadkiem, jak ją wieczorem puszczono i nie zapomnę tego wrażenia, nie dla samej wspaniałości widoku jedynie.

Zmrok powoli zapadał. U podnóża fontanny, (bo sama fontanna dość wysoko leży) zgromadziło się co najmniej 50 tysięcy ludzi; wszyscy czekają na otwarcie fontanny. Muzyka wygrywa pięknie melodye, a najwięcej czeskich piosnek narodowych. Gdy grajkowie ustaną, zaczyna się śpiew; to tu, to tam ktoś zanuci znaną narodową piosenkę, a tuż zaraz poprą go w śpiewie tysiące ludzi.

Naraz maszyna, która pędzi wody z fontanny, zaczyna warczeć i huczeć, słychać szmer, a potem tryska wspaniały promień, bijący nad wysokość pałacu przemysłowego, bielutki, śnieżny; za nim dążą w ślady promienie niższe, ale grubsze i w jednej minucie masz przed oczami najwspanialsze widowisko wód, jaśniejących wszystkimi kolorami tęczy. Kolory te zmieniają się co moment; żółty oddaje swój kolor czerwonemu, czerwony niebieskiemu, niebieski białemu i t. d.

A tysiące ludu czeskiego wita te promienie wodne ogromnym okrzykiem, który się kończy ogólnym śpiewem narodowego hymnu czeskiego »Kde domuw mój,« przy dźwiękach muzyki.

Nie podobna mi się było obronić uczuciu rzewności, gdym porówno z innymi był świadkiem tego wszystkiego. »Gdzie dom jest mój«, — tak gdzie mój dom i czy w mym domu wolno zaśpiewać tak swobodnie i głośno ludową pieśń?... Nie mógłem też stłumić uczucia pewnej zazdrości względem Czechów; zazdrościłem im ich swobody i wolności.

Stałem smutny pod drzewem, okiem cielesnem wpatrzony w świetlaną fontannę, okiem ducha zatopiony gdzieś, gdzieś daleko. A pieśń czeska płynęła ku wypogodzonemu, gwiaździstemu niebu, piękna, wielka, wspaniała i rozlewała się z wiatrem na kraj czeski; echo jej dźwięczało w całym kraju czeskim i co więcej znaczy, w sercach wszystkich dzieci narodu czeskiego. I jako potulny skowronek przy orle, tak obok tej pieśni biegło moje westchnienie: »Szczęśliwi Czesi!«... (Dokończenie nastąpi.)

CUKIER.

Istnieje bardzo wiele roślin, z których można otrzymać gęsty słodki syrop, lecz ten nie krystalizuje się, to jest nie tworzy kryształków cukrowych. Cukier krystaliczny, zwyczajny nasz cukier, wyrabia się z dwóch roślin: trzciny cukrowej i buraków.

Trzcina cukrowa należy do wielkiej rodziny roślin trawiastych, do tej samej do której zaliczone są: żyto, pszenica, jęczmień i zwyczajna trzcina. Wszystkie one posiadają pustą wewnątrz łodygę, złożoną z wyraźnych kolanek. Liście mają bardzo wąskie, cienkie i długie, a kwiaty rozłożone w postaci kłosów. Owoc ich stanowi ziarno mączyste.

Trzcina cukrowa wyróżnia się z pomiędzy roślin trawiastych swą wielkością. Wysokość jej dochodzi do dziesięciu i więcej stóp, a grubość jeden do półtora cala. Składa się z wielu kolanek, wyraźnie oddzielonych od siebie wewnątrz błoną, zewnątrz niewielką obrączką. Liście, podobne do liści innych trzcin szerokie, ciemno-zielonej barwy, tworzą na jej wierzchołku rodzaj wachlarza, ponad którym wnosi się kitka jedwabista.

Pierwotną ojczyzną trzciny cukrowej są Chiny, oraz Indye wschodnie. W śreonich wiekach uprawiano ją w południowych Włoszech i w Hiszpanii. Hiszpanie przenieśli ją na wyspy Kanaryjskie, Maderę i wyspę św. Dominika, zkąd dostała się do południowej Ameryki, gdzie obecnie najliczniejsze znajdują się plantacye. Każde kolanko trzciny cukrowej wypełnia słodki sok służący do wyrobu cukru. Zbiór trzciny odbywa się nie po całkowitem jej dojrzeniu, lecz wtedy, kiedy jej sok w największej znajduje się obfitości. Żniwiarze odcinają ją tuż przy ziemi, oddzielają od niej wierzchołek pozbawiony soku cukrowego, usuwają liście z łodygi i miażdżą ją pomiędzy dwoma żelaznemi walcami. Wyciśnięty sok przeprowadza się do obszernych naczyń, warzy z pewną ilością wapna, poczem powtórnie się gotuje, oczyszcza z piany i przecedza przez materyę wełnianą. W otrzymanym w ten sposób ochłodzonym syropie, wytwarza się wielka ilość kryształów. Jest to tak zwany surowy cukier. Część cukru nie skrystalizowana, spływająca przez otwory umieszczone w dnie naczynia, stanowi to, co pospolicie zowiemy melasem.

Surowy cukier przewozi się do Europy, raz jeszcze oczyszcza czyli rafinuje w oddzielnych, ku temu celowi urządzonych rafineryach i sprzedaje w postaci znanych głów cukrowych. Z melasu otrzymujemy rum czyli arak, przeważnie używany do ponczu. Z syropu cukrowego wyrabiamy również znany cukier lodowaty, krystalizujący się naokoło nitek umieszczonych w naczyniu. Z cukru wyrabiają jeszcze tak zwany cukier owsiany i karmelki. Sok trzciny cukrowej jest bardzo pożywny, albowiem oprócz cukru mieści w sobie wiele białkowatych części. Korzystają z tego plantatorowie amerykańscy i podczas zbioru dozwalają murzynom żniwiarzom posilać się wyssanym z trzciny cukrowej sokiem; konie zaś karmią liśćmi stanowiącemi wyborną paszę. Podczas żniwa leżą na rynkach Rio-Janero, Nowego Orleanu, całe stosy trzciny cukrowej, której sokiem każdy za małą opłatą raczyć się może. Sok wytłoczony, jako pozbawiony najposilniejszych pierwiastków, nie posiada tej pożywnej własności.

Na początku XVII-go wieku cukier był taką rzadkością, iż kupowano go u aptekarzy na uncye, tak jak dziś kupujemy chininę. Z upowszechnieniem się plantacyj w Ameryce cena jego znacznemu uległa obniżeniu, a zwyczaj używania kawy, później herbaty, uczyniły go jednym z najważniejszych artykułów gospodarskich.

W roku 1806 Napoleon I. zaprowadził tak zwany system kontynentalny, na mocy którego wzbroniono okrętom angielskim przywozić cukier do portów europejskich, wskutek czego cena jego znacznie się podniosła. Wówczas po-

częto próbować, czyby z innej rośliny nie udało się otrzymać krystalizowanego cukru; początkowe wszakże próby były bardzo nieudatne. Ilość otrzymanego cukru nie pokrywała kosztów wyrobu. Chcąc pobudzić do nowych badań, Napoleon I. naznaczył milion franków nagrody temu, kto wynajdzie lepszy sposób fabrykacyi cukru burakowego. Nowe próby pomyślniejszym uwieńczone zostały skutkiem: otrzymano teraz cztery razy więcej cukru niż z początku. Sposób wyrobu cukru z buraków nie wiele się różni od fabrykacyi cukru trzcinowego. Po obmyciu, pokrajaniu i wytłoczeniu buraków, postępuje się z burakowym sokiem tak, jak z sokiem trzciny cukrowej.

Cukier, jak już wspominano, nie posiada wiele pożywnych części, pomimo tego oprócz do kawy i herbaty, bardzo obszerne ma zastósowanie w gospodarstwie domowem.

PODRÓŻ BALONEM.

I.

Dnia 15-go Stycznia 1862 zamieściła pewna londyńska gazeta następującą nowinę: »Nareszcie jesteśmy blisko dnia, w którym tajemnice niedostępnych puszcz afrykańskich zostaną zbadane. Rodak nasz, sławny podróżnik dr. Fergusson bowiem postanowił, odbyć podróż balonem ponad Afryką. O ile wiemy, wyjedzie z Londynu okrętem do wyspy zwanej Zanzybarem, a ztamtąd balonem dalej. W którem miejscu spuści się z balonem na ziemię, o tem nikt dziś nie wie. Śmiałemu podróżnikowi życzymy powodzenia w tej trudnej, niebezpiecznej a ważnej wyprawie.«

Wiadomość ta poruszyła całą Anglią, bo któż się mógł spodziewać, że znajdzie się człowiek, co będzie miał odwagę, powierzyć swe życie balonowi, aby w nim podróżować nad krajami nieznanymi, pełnymi niebezpieczeństw ogromnych. Niektórzy sądzili, że gazeta żartuje sobie ze swoich czytelników i stara się, zająć ich nadzwyczajnemi, lecz zmyślonemi wiadomościami; inni sądzili, że nowinę podano w tym celu, aby dr. Fergussona ośmieszyć, jako marzyciela, który ma wielkie wprawdzie, ale niewykonalne zamiary; inni wreszcie sądzili, że figlarz jaki zakpił sobie z redakcyi gazety, donosząc jej o Fergussonie, który wcale na świecie nie istnieje.

Tymczasem wiadomość ta była prawdziwą: Fergusson żył w Londynie i sposobił się na gwałt do swojej podróży. Byłto człowiek w sile wieku i jakby stworzony na podróżnika: mądry, bystrego umysłu, stanowczy, odważny, silnej budowy ciała, zahartowany na wszelkie mozoły. Od dzieciństwa bowiem podróżował po świecie z ojcem swym, który był kapitanem okrętu. Gdy zaś ojciec zmarł, przyłączał się syn do każdej dalekiej wyprawy, jaką z Anglii urządzano. Był w Ameryce, Azyi, Australii, a także już i w Afryce. Tu badał kraje nad brzegiem morza leżące, jak i inni podróżnicy, ale wielka chęć go brała, poznać głębie puszcz afrykańskich. Licząc się z niebezpieczeństwami, grożącemi podróżnikowi, któryby się odważył, zapuścić w te niezbadane pustynie, wiedział, że choćby to był wielki śmiałek, daleko w kraj nie zajdzie. Wówczas to przyszło mu na myśl, aby zbudować wielki balon i w nim puścić się w podróż nad Afryką. Lata całe myślał nad tem; nakoniec pewnego dnia zawołał do swego służącego, Józefa:

— Pojedziemy!

— Dokąd?

— Do Afryki!

Józef ani się zdziwił, ani się też o dalsze szczegóły pana swego nie pytał, bo to był sługa, jakiego by sobie każdy pan życzył: wierny, mądry, panu swemu oddany, pełen poświęcenia dla niego i tak mu ufający, że co pan powiedział, temu sługa się poddał i gdyby Fergusson był kiedy powiedział: »Józek, pojedziemy na księżyc!« to Józef ani by

się był dziwił, ani nie dowierzał, tylkoby zaraz rzeczy zaczął do kufra pakować. Był on nadzwyczajnie zgrabny; przyjaciele Fergussona mawiali, żartując sobie z Józefa, że gdyby w ogrodzie zoologicznym czyli zwierzyńcu potrzebowano nauczyciela turnieji dla małp, to Józef byłby stósowną osobą, bo umiał skakać, drapać się na drzewa i liny i różne inne trudne wykonywać rzeczy tak zgrabnie i z taką łatwością, jakby po ziemi chodził. Gdy pan mu powiedział, że jadą do Afryki, to rozumiało się to samo z siebie, że i on, Józef jedzie.

Fergusson postanowił jednak zabrać jeszcze jednę osobę ze sobą w podróż, a był nią dobry jego przyjaciel, Ryszard Kennedy, Szkot z urodzenia. Przyjaciel ten posiadał małą wioskę, niedaleko stolicy szkockiej, co się Edynburg nazywa, nie był żonatym, a mając dosyć majątku, aby wygodnie żyć, oddawał się z upodobaniem polowaniu. Nie było też w Szkocyi i Anglii lepszego strzelca nad niego a nadto posiadał cenne przymioty, jak wielką siłę, odwagę, wytrwałość. Przy tem miał bardzo dobre serce, był otwarty i szczery a Fergussona kochał, jak brata.

Gdy z gazety o zamiarze przyjaciela wyczytał, przeląkł się nie mało, bo sądził, że Fergusson na oczywistą śmierć idzie. Któż bowiem kiedy słyszał o takiej szalonej wyprawie balonem! Czemprędzej tedy pojechał do Londynu, aby Fergussonowi powiedzieć, że życie swe naraża. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy tenże, wysłuchawszy najspokojniej jego słów, rzekł:

— Mimo to jedziemy!

— Jedziemy? — krzyknął Ryszard.

— Tak jest; ty, ja i mój sługa, Józef — odrzekł spokojnie Fergusson.

— Ja? — zawołał Ryszard. — Ja? Człowieku! Tobie się zmysły pomięszały; chcesz zgubić siebie, mnie i Józefa.

— Więc nie chcesz zemną jechać? — zapytał spokojnie Fergusson.

— A gdybym nie chciał?

— To pojadę sam z Józefem — odparł Fergusson.

Chwilę milczeli obaj; wreszcie Ryszard znowu się odezwał:

— Pomyśl tylko, jakie niebezpieczeństwa cię czekają, jakie przeszkody!...

— Przeszkody — odpowiedział Fergusson — są na to, aby je zwalczać, a co do niebezpieczeństw, któż może powiedzieć, że mu ciągle nie grożą? Ciągle jesteśmy w niebezpieczeństwie! Gdy siadamy do stołu, może się krzesło złamać i może się stać nieszczęście...

— Podług mego zdania — odezwał się po chwili Ryszard — lepiejbyś zrobił, jeżeli już koniecznie chcesz po Afryce podróżować, abyś tak samo podróżował, jak inni, to jest na ziemi.

— Kochany przyjacielu — odparł na to sucho Fergusson, — nie obraź się, ale z tego, coś powiedział, widzę, że się dobrze nie zastanawiasz, zanim co powiesz. Czy niebezpieczeństw i przeszkód mniej na ziemi, niż w powietrzu? Czy idąc po ziemi mogę dojść tamdotąd, dokąd chce? Nie sposób! Żywioły, głód, pragnienie, febra, dzikie zwierzęta i jeszcze dziksze ludy tamtejsze przeszkodzą mi, zamiar mój wykonać. Iluż to podróżników zginęło już w ten sposób! Ponieważ więc nie ma rady, zbadać Afrykę, idąc po ziemi, przeto trzeba się starać zbadać ją inaczej i dla tego pojedziemy balonem!

Znowu chwilę trwało milczenie. Potem znów Ryszard się odezwał:

— Ale balonem, balonem!...

— Właśnie, że balonem jedziemy, mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Pomyśl sobie, jaka to pożyteczna rzecz: balon! Nie potrzebujemy się bać dzikich zwierząt, ani dzikich ludzi. Gdy nam za zimno, spuścimy się niżej; gdy za gorąco, podlecimy w górę. Z łatwością przelecimy nad każdą górą, nad każdą rzeką, jak ptaki. Zdarzy się burza, to wzniesiemy się nad chmury. Pojedziemy nad krajami, miastami i ca[illegible] Afryka będzie pod nami się ro[illegible], jakbyś rozwijał zwitek papieru.

— Gdy tak mówisz — bąknął Ryszard, — to chyba wynalazłeś jaki przyrząd, za pomocą którego można balonem sterować?

— Nie, takiego przyrządu nie wynalazłem — odpowiedział Fergusson; —

pojedziemy balonem w kierunku ze wschodu na zachód, powierzywszy się wiatrom, zwanym passatami,*) które stale w jednym kierunku wieją.

— Aleć, przyjacielu, — protestował jeszcze Ryszard — jeżeli chcesz się z balonem spuszczać podług woli, to przecie musisz tracić gaz z twego balonu, a wypuściwszy go, gdy w dół polecisz, zkądże go weźmiesz, gdy balon znów w górę będziesz chciał pchnąć?

— O tem wszystkiem już myślałem — odrzekł Fergusson, — ale to tymczasem tajemnica jeszcze.

Ryszard kręcił głową, ale pozostał w Londynie, wmawiając w siebie, że potrzeba, aby był przy przyjacielu i usiłował go odwieść od szalonego zamiaru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Obacz między rozmaitościami niniejszego numeru.

ROZMAITOŚCI.

* **Wiatr,** prąd powietrza powstający w skutek zerwania równowagi w jakiemkolwiek miejscu atmosfery, co w ogólności następuje w skutek niejednostajnego ogrzewania atmosfery; powietrze silniej rozgrzane rozszerza się, staje się lżejszem, wznosi się w górę i rozlewa na strony, a dla zastąpienia tego ubytku napływa powietrze ze wszech stron w warstwach dolnych. Na równiku, gdzie promienie słońca padają prawie prostopadle, powietrze się silnie rozgrzewa, istnieje tam ciągły prąd wstępujący, który w górnych warstwach odpływa w obie strony ku biegunom; natomiast z obu biegunów płyną w dolnych warstwach prądy ku równikowi, tak że powstają ztąd na obu półkulach dwa prądy — górny czyli równikowy i dolny czyli biegunowy; pierwszy unosi powietrze cieplejsze, drugi zimniejsze. Na półkuli północnej prąd równikowy jest południowym, dolny północnym. Atoli w skutek obrotu dziennego ziemi zasadniczy ten kierunek ulega zmianie; prąd równikowy przechodzi z miejsc posiadających większą szybkość obrotu do miejsc wolniej się poruszających, w skutek bezwładności zachowuje szybszy swój ruch ku wychodowi, porusza się szybciej ku wschodowi niż punkta ziemi po nad którymi przebiega i przyjmuje względem nich kierunek południowo-zachodni. Natomiast prąd biegunowy przechodzi od miejsc wolniej się poruszających w miejsca szybsze, opóźnia się zatem względem nich i zdaje się pochodzić od wschodu, tak, że przybiera kierunek północno-wschodni. W ten sposób powstają dwa wiatry zasadnicze czyli passaty: passat górny, południowo-zachodni, i dolny, północno-wschodni ku Ameryce środkowej, który poprowadził tam Kolumba i w ogóle używa się do przejścia do Ameryki, zkąd nazwa passatu. Passat górny poznać można po biegu wysokich chmur pierzastych, albo też po kierunku dymów wulkanicznych i spadku ich popiołów, które przez ten passat bywają unoszone w kierunku przeciwnym wiatrowi wiejącemu u dołu. W okolicach równika, gdzie wielkość równoleżników nieznacznie się zmienia, passaty dolne skierowane są głównie ku równikowi i nawzajem się znoszą, tak, że z obu stron równika rozciąga się na kilka stopni strefa ciszy; strefa ta wraz z biegiem słońca nieco się przesuwa między zwrotnikami. Po tej okolicy następuje strefa passatów, rozciągająca się z obu stron równika do 39^{0} szerokości, gdzie panuje stateczny prąd biegunowy i która także ze strefą ciszy nieco się przesuwa w ciągu roku.

* **Nowa olbrzymia budowa.** W Nowym Yorku zbudowany zostanie wkrótce gmach, który będzie najwyższym budynkiem.

Po nad dachem 20 pięter będzie się wznosiła jeszcze wieża z miedzianą kopułą, przez co wysokość całej budowy osięgnie 550 stóp. O ogromie tej wysokości można sobie wyrobić wyobrażenie, jeżeli zrobimy porównanie z innemi olbrzymami tego rodzaju. I tak, wieża kolońskiej katedry jest tylko 511 stóp wysoką. W ogóle są na świecie tylko dwie budowy wyższe od budowanego teraz gmachu t. j. wieża Eiffel w Paryżu i monument Washingtona. Jako budynek handlowy gmach ten nie będzie miał sobie podobnego. Gmach będzie się składał z dwóch części połączonych z sobą. Olbrzym ten będzie zajmował w fundamentach 32,000 stóp kwadratowych, a zbudowany zostanie z samego żelaza. Kamień, terrakotta i cegły, które tworzyć będą ściany, służyć będą tylko jako ozdoby i przegrody, lecz cały ciężar spoczywał będzie na żelazie.

Wewnątrz podzielony będzie ten gmach na 26 piąter, obejmujących 1000 biur, każde o przeciętnej powierzchni podłogi 300 kwadratowych stóp. Olbrzymi, sklepiony korytarz przecinał będzie cały gmach. W tym korytarzu urządzone będą miejsca na handle rozmaitego rodzaju, golarnie i t. p. Cztery wielkie schody prowadzić będą aż do 20-go piętra a ztąd dalej mniejsze, jeszcze do 26-go piętra. Oprócz tego 12 elewatorów służyły będą do komunikacyi aż do 20-go piętra, a w wieży będzie jeden elewator do 26-go piętra. — Na dachu zostanie urządzony prześliczny ogród letni, połączony z olbrzymią restauracyą, która obejmować będzie całą połowę dachu. Mosty, 20 stóp szerokie, łączyć będą dachy obu części gmachu. Koszta budowy obliczono na 4 miliony dolarów.

* **Historya influenzy.** Taki tytuł nosi dziełko angielskiego lekarza Parsonsa wydane świeżo drukiem w Londynie. Według autora broszury influenza nie jest chorobą nową; przeciwnie, znano ją już w początkach XVI. wieku. W latach 1803, 1833, 1837, 1847, 1848 epidemie influenzy srożyły się w Anglii, żadna jednak nie doszła do potęgi, jaką odznaczała się np. epidemia zeszłoroczna. Choroba w roku 1889 zjawiła się ze wschodu w październiku. Przeszedłszy przez Rosyę w październiku, dostała się już w listopadzie do Londynu. Wszędzie prawie influenza grasuje pomiędzy końmi i bydłem, zanim pojawi się u ludzi. Czynnikami, przyczyniającemi się najbardziej do rozwoju choroby są: atmosfera, mazmiaty, malaria. Choroba jest zaraźliwą, a zarazek przynosi się z osoby na osobę z szybkością nadzwyczajną. Dr. Parsons w badaniu dochodzi do wniosku, iż influenza nie powinna być uważaną za katar skomplikowany, lecz za rodzaj gorączki odrębnej. W ostatnich latach influenza najsilniej srożyła się w roku 1848, gdyż w samej Anglii zmarły na tę chorobę 7963 osoby.

* **W Paryżu** odbył się ciekawy ślub przed kilku dniami. Państwo młodzi i cały orszak weselny, wyruszyli do urzędu cywilnego na welocypedach, a ztamtąd do kościoła. Po skończeniu ceremonii, dla spożycia śniadania, wszyscy na stalowych rumakach udali się na przedmieście Neuilly.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

do przystrojenia ołtarzy w kościele, powinne być pielęgnowane. Chów kwiatów podnosi duszę i uszlachetnia, dając jej poczucie piękna i podnosząc myśl ku Bogu.

Jakby to inaczej wyglądało po wioskach naszych, gdyby przy każdym domu, rosły kwiaty i krasiły go swoją barwą i wonią?

Z ogrodu warzywnego przez całe lata zaspokojone być mogą wszystkie potrzeby domowe kuchni, a oprócz tego pilna i rządna gospodyni będzie umiała tyle jeszcze spieniężyć, aby miała na swoje domowe wydatki.

Z ogrodu owocowego również będą owoce dla domu i na sprzedaż, a jeżeli będzie też w nim pasieka, dochód z niego może być bardzo znaczny.

Wszak po większych miastach są ogrodnicy, którzy z kilku morgowego ogrodu dorabiają się majątków, czemużby więc gospodarz nie mógł mieć przynajmniej tyle, aby mu się trud opłacił?

Potrzeba więc tylko, ażeby dzisiejsze zaniedbane, często nawet nie ogrodzone należycie grzędy i zagony dom otaczające, zmienić na starannie i roztropnie uprawiane ogrody.

Fraszki.

Nauczyciel: Pomyślcie sobie, żeby was pięciu dostało odemnie 30 gruszek, 40 wiśni, 20 jabłek i 10 śliwek i mielibyście się tem podzielić. Cóżby każdy z was dostał!

Ignaś (pewny siebie): Bólu brzucha, panie nauczycielu.

ODPOWIEDŹ KUBY.

Pan radzca rejencyjny zwiedza szkołę, a nauczyciel przy nim egzaminuje dzieci surowo, i pomiędzy innemi pyta też Kubę:

— Ile mamy dni w roku?

Ale Kuba milczy.

Widząc pan radzca groźną minę nauczyciela, chce tego pouczyć, jak się to dziecko ośmiela i zadaje z uśmiechniętą miną Kubie to samo pytanie. Kuba jednakże znowu milczy. Pan radzca chce przeprowadzić swoje i powiada:

— Mój chłopczyku, nie powinieneś na to uważać, że ja tu stoję; wystaw sobie, że tu nie ma mnie, ani pana nauczyciela, a twój sąsiad Antek pyta cię: powiedz mi też Kuba, ile mamy dni w roku! cobyś ty na to Antkowi odpowiedział?

Po krótkim namyśle odpowiada Kuba:

— A no! odpowiedziałbymu mu: Co tobie, ośle do tego!

BEZ NAMYSŁU.

Pewien roztrzepaniec, słysząc, iż opowiadano z podziwieniem o jakimś człowieku, który umarł mając sto lat, zawołał:

— Och, i cóż to wielkiego! mój ojciec, gdyby nie był umarł, miałby właśnie teraz sto dziesięć lat!

Ten sam człowiek wpadłszy raz w rzekę, z trudem wielkim sam się z niej wydobył, bo nie było w pobliżu nikogo, ktoby mu dopomógł. Powtarzał on potem:

— To wielkie szczęście, że byłem tam obecny, bo gdyby nie ja, byłbym się utopił

ŻYDOWSKA MIARA.

Hopkinersaft: Czy ja moge proszyć z pańską żoną do kadryl?

Bankier Goldberg: A wiele pan ma teraz pensye u prycypała, panie Hopkinersaft?

H.: Tysząc oszemset i dwa procent tontjeme.

B.: No, to pan może z moją żoną tańczyć

NIE MÓGŁ SIĘ ODWZAJEMNIĆ.

Żyd A.: Czy to nie podłość! Majer się ożenił, a na wesele mnie nie zaprosił.

Żyd B.: Dla czego ci na tem tak zależy?

Żyd A.: Bo on na mojem weselu najwięcej zjadł, więc chciałem się odwzajemnić.

GRZECZNOŚĆ OBOWIĄZKIEM.

Gubernator miasta Wiliamsburg w Stanach Zjednoczonych, rozmawiał raz na ulicy z kupcem. Jakiś murzyn, przechodząc obok rozmawiających, pozdrowił ich z poszanowaniem, a gubernator odwzajemnił mu ukłon. Kupiec zdziwiony, rzekł:

— Jakto? Wasza Excellencya tak się poniża, że pozdrawia niewolnika!

Tamten odrzekł:

— Grzeczność nikogo nie poniża. Przykroby mi było, gdyby niewolnik okazał się uprzejmiejszym odemnie.

CHŁOP I OKULARY.

Jeden wieśniak widząc, iż starzy używają przy czytaniu okularów poszedłszy do miasta, udał się do przekupnia okularów, prosząc o takowe dla siebie. Ten wsadził mu na nos jedną parę. Chłop wziął książkę, ale roztworzywszy ją sobie przed oczy, powiedział, że okulary nie są dobre, bo nic przeczytać nie może. Kramarz założył mu z kolei kilka innych par, najlepszych jakie w sklepie znalazł, lecz i przez te chłop nic nie wyczytał. Kupiec tedy zapytał:

— Mój przyjacielu, a może ty wcale czytać nie umiesz?

— Pewnie, że nie umiem — odrzecze wieśniak — a doczegóż, u licha, kupowałbym okulary, gdybym czytać potrafił!

CYGAN SWATEM.

Rodzice nie mogąc za mąż wydać swej dziewki, bo była nic dobrego, a przytem wielce szpetna, prosili cygana na swata, jako człowieka przebiegłego i zalecili mu, aby w domu pewnego parobczaka, gdy się będą o ich córkę wypytywali, przechwalał i powiększał wszystkie jej przedmioty. Poszedł cygan i powiada o pannie, że bardzo bogata, ładna, dobra....

Wtem rzekną rodzice parobczaka:

— I podobno ślepa na jedno oko?

— Na obydwa niedowidzi — odpowie cygan.

— I trochę głucha, jak słyszeliśmy?

— Głucha jak pień — przytakuje cygan.

— I trochę kuleje na jedną nogę?

— Kuleje na obydwie i dobrze — dorzuca swat.

— No, to kiedy tak — rzekną rodzice — to się wynoś, panie swacie, bo nam synowej takiej nie potrzeba.

TOAST.

Żyj nam organi 100,
Który śpiewasz czy 100.
Razem 200 lat.



SPRYTNY.

Żona: Jakto, kochany mężu? Już wypiłeś taki wielki kufel piwa? Jakże to podobna?

Mąż: Przynieś mi jeszcze jeden kufel piwa, to ci pokażę, jak się to robi.

Od redakcyi.

Wszystkim, którzy w rozmaity sposób (listownie, przez polecenie »Światła« w gazetach, między znajomymi, przez podanie adresów) życzliwość swoję nam okazali, składamy serdeczne dzięki i prosimy ich, aby i nadal »Swiatło« popierali.

W Nr. 2-gim zamieścimy bardzo ciekawy artykuł p. t. „Wiadomości górnoszląskie,“ na który już dziś zwracamy uwagę Szan. Czytelników.

Ktoby sobie życzył kilka egzemplarzy Nr. 1-go »Światła« celem rozdania, niech zechce ich od ekspedycyi »Światła« w Bytomiu G.-Szl. zażądać, a chętnie bezpłatnie i franko prześlemy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.